Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Cena egzempl. 50 gr

KUŹNICA

MIESIĘCZNIK

ZAGADNIENIA NARODOWE, SPOŁECZNE i LITERACKIE

ROK II. GRUDZIEŃ 1936 NR. 12.

TREŚĆ:

BUŁAWA.

Fakt otrzymania przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych z rąk Prezydenta R. P. buławy marszałkowskiej dowodzi, że zmiany ustrojowe inną idą drogą, niż to przewidywali twórcy Konstytucji i ordynacji wyborczej.

Fakt ten notujemy z radością. Jest bowiem obecnie w Polsce autorytet i poręka bezpieczeństwa tam, gdzie zawsze się winny jednoczyć wszystkie siły narodu, tam gdzie „nie stać nas na różnice poglądów“, to jest tam, gdzie w grę wchodzi sprawa obronności kraju.

Nie stać nas na różnice poglądów w sprawach obronności kraju, lecz stać nas na poglądy.

Skoro szranki zostały do właściwych granic zacieśnione, uzyskaliśmy podstawę i gwarancję, że dopuszczone do udziału w życiu publicznym społeczeństwo wniesie nowy, ożywczy prąd, którego w tej chwili nie ma. Atmosfera bowiem staje się coraz bardziej duszna. A skoro jest regulator, czas otworzyć wentyle bezpieczeństwa, czas wyciągnąć konsekwencje z doniosłego aktu listopadowego.

Dlatego dzień 10 listopada jest dla nas faktem radosnym, on bowiem jest gwarancją, że udział w życiu publicznym społeczeństwa, że starcie poglądów i interesów, wnosząc czynnik konstruktywny w życie polityczne, nie nawróci do tradycji sejmowładztwa i nie przekroczy granic, które dyktuje niepodległość i obronność państwa.

„Kuźnica“ — dwutygodnikiem.

Wnet miną dwa lata pojawienia się pierwszego numeru „Kuźnicy“. Jedni powitali ją z szczerą radością, inni z przepowiedniami o rychłym zgonie. Przepowiednie nie spełniły się — „Kuźnica“ rozwija się i zyskuje coraz liczniejsze grono prenumeratorów i sympatyków.

Z dniem 1 stycznia 1937 r. przekształcamy „Kuźnicę“ na dwutygodnik.

Jest to konieczne, domagają się tego czytelnicy: „Kuźnica“ jako dwutygodnik mieć będzie częstszy kontakt z czytelnikiem, zatem skuteczniej rozprowadzać będzie w społeczeństwie te myśli i idee, które głoszą skupieni koło niej działacze i publicyści. „Kuźnica“ bowiem staje się pismem o coraz bardziej zdecydowanym obliczu — staje się wyrazem ideowo-politycznych, narodowych, społecznych i kulturalnych dążeń nowego, powojennego pokolenia w Polsce.

Tych wszystkich, którym kierunek naszego pisma odpowiada i chcieliby się na jego łamach wypowiadać, zapraszamy do współpracy. Czytelników i sympatyków prosimy o poparcie. „Kuźnica“ jako pismo **niezależne** byt swój opiera na prenumeratorach i datkach sympatyków.

REDAKCJA

Zaufanie za zaufanie.

W sławnym numerze śląskim „Wiadomości Literackich” Ksawery Pruszyński poruszył w kilku prawie tylko słowach bardzo drażliwy problem, tłukący się od wielu lat po Śląsku, ale nie postawiony przez nikogo na nogi. Wprawdzie quod licet Pruszyńskiemu non licet w tej samej mierze Ślązakowi. Ale czemużby nie było wolno spojrzeć okiem krytycznym na naszą śląską teraźniejszość?! Spróbuję prawdzie spojrzeć w oczy sine ira et studio.

A że jestem pewnym, że cały szereg ludzi „dobrej woli”, bo takich nie brak nigdzie, a już wcale u nas na Śląsku, będzie mnie posądzał o dmuchanie w własny żagiel, prosiłbym tych „dalekowidzów“ przyjąć do wiadomości, że mi bardzo dobrze na moim stolcu wójtowskim, a już całkiem zadowolenie moje nie miałoby granic, gdyby tak kiedyś — na starość — mieć mały domek w moich ukochanych Wilkowyjach.

To więc „antycypando“, a teraz — do rzeczy!

Pan Pruszyński odpowiada w swoim artykule pewnemu znajomemu, urzędnikowi na Śląsku, pochodzącemu z innej dzielnicy, na jego zarzut, jakoby Górnoślązacy nie byli zdolni do wydania z siebie mężów dorosłych do samodzielnego sobą rządzenia. Nie będę przy tym przytaczał ani treści tej odpowiedzi, ani zbyt lekkiego potraktowania tej arcyważnej sprawy przez pewnych nie - Ślązaków na łamach Polski Zachodniej, ani też „ausschlachtowania” tego „wpadunku” przez konkurencję Polonii, bo to wszystko znane rzeczy.

Chodzi zaraz z góry o ustalenie faktu, że na Śląsku pokutuje antagonizm dzielnicowy. Wprawdzie w ostatnich latach dało się zauważyć pewne odprężenie w napiętych dawniej stosunkach, ale jest to raczej wynik silnej ręki, która — bardzo zresztą słusznie — nie zezwala na Śląsku na wewnętrzne swary. Przyczyniły się do tego także wysiłki pewnych mądrych i odważnych ludzi po obu stronach barykady, dążących do wzajemnej, że tak powiem, asymilacji. Ale dążności odśrodkowe istnieją i każdy wie o ich stosunkowo dużym nasileniu, ktokolwiek tylko patrzy na rzeczy Śląska żywymi oczami, bez odchylenia linii patrzenia za pomocą tendencyjnych okularów.

Antagonizm dzielnicowy jest dwojaki: powiedziałbym śląski i nieśląski i każdy z nich jest na równi zły i do potępienia! Pomijam różnice w strukturze Śląska i Ślązaka w porównaniu z innymi dzielnicami i z rodakami z innych dzielnic, które wynikły z wiekowej rozłąki z Macierzą, i które stanowią tylko pożywkę dla hodowania bakcyla separatyzmu. Dzielnicowość śląska jest bowiem dzieckiem niemieckim. Już w czasie akcji plebiscytowej, a zwłaszcza po trzecim powstaniu przed objęciem i nawet po objęciu Śląska niemiecka agitacja przygotowała intensywnie teren pod akcję separatystyczną. Mówiło się już wówczas o inżynierach, „którzy koniki w domu strużą, i którzy do nas przyjdą rej wodzić”, wskazywano na wygłodniałą Galicję, która jak z rogu obfitości zaleje cały Śląsk swymi ludźmi i pozbawi Ślązaka chleba.

Nie da się zaprzeczyć, że jad taki, sączony systematycznie w młodą polską duszę Ślązaka, uczynił swoje. To też mnoga była liczba tych Ślązaków, bardzo nawet zasłużonych, którzy przez takiego typu „Sturm und Drang” przechodzili. I dosyć długo trwało, zanim zaczęliśmy poznawać szkodliwość takiego stanu rzeczy i nawoływać brać naszą do skorygowania swoich sym- a raczej antypatyj.

Tymczasem antagonizm nieśląski powstał w zupełnie odmienny sposób. Rodacy z innych dzielnic przyszli na Śląsk po części zupełnie nieprzygotowani. Nie zdawali sobie z tego sprawy, że Ślązak przeszedł przez niemiecką szkołę i organizację życia, że odsłużył swoją wojnę w szeregach armii niemieckiej na krwawych polach Francji, w szeregach tej armii, która żywiła największą pogardę dla wojska swojej sojuszniczki Austrii, spod której zaboru większość naszych rodaków nie-Ślązaków pochodzi. Nie wiedzieli o tym, jak trudny był bój w czasie plebiscytu i walk powstańczych z przemożną na Śląsku niemczyzną. Nie orientowali się absolutnie, co się działo w duszy człowieka, który po szeregu krwawych lat w Francji z całym zapałem rzucił się w pracę konspiracyjną w nadziei wyzwolenia swej bliższej ojczyzny — Śląska — który poszedł kilkakrotnie z bronią w ręku o wolność i — który tę stawkę wygrał. Ta psychika buntu siłą faktu musiała pozostać jakiś czas jeszcze w rogatych śląskich duszach i wywołać owe wygórowane samopoczucie, które nijak nie chciało pasować w ramy normalnie rządzonego państwa. Przecież dzieci tej epoki, wybitni niepodległościowcy niejednokrotnie nie dawno dopiero zdołali znaleźć stałe miejsce w praworządnym społeczeństwie. A iluż jest takich, którzy tej „drogi powrotnej“ nie znaleźli i których po ulicach Katowic wszy jedzą!

Do takiego gniazda szerszeni przybyli rodacy z innych dzielnic. I trafiła kosa na kamień. Byli pomiędzy nimi tacy, którzy zaraz chcieli „wyplenić wszelkie naloty wiekowej germanizacji, którzy nie mieli czasu — a raczej tego filipa — ażeby zaczekać i przykładem oraz dobrym słowem zdobywać serca ludu śląskiego dla prawdziwej kultury polskiej.

To też spotkali się z szorstką odprawą. Wtedy się zrodziło owe nieszczęsne słowo „gorol“, co oznacza trochę więcej niż nie-Ślązak. Ci panowie zaś do-

tknięci w swojej ambicji cofnęli się w swoją skorupę, odmówili w czambuł całemu śląskiemu ludowi jakichkolwiek — prócz pracy — walorów i stworzyli na Śląsku kastę tak silnie ze sobą związaną, że do niej nikt obcy przeniknąć nie zdoła.

I wyrosła na Śląsku barykada groźna, która przecina Śląsk nie tylko jak owa „krwawa granica" pod Bytomiem, ale która prowadzi przez nasze serca i odgradza Polaka od Polaka.

A skoro się tylko człowiekowi — nomina sunt odiosa, — który dzięki swej gruntownej wiedzy i swemu bystremu rozumowi zagadnieniu śląskiemu poświęca należytą uwagę, udaje tę barykadę obniżyć, zaraz zjawiają się nowi „murarze", którzy ją pilnie wzmacniają kamieniem swoich egoistycznych serc i cementem zarozumiałości. I budują ją skrzętnie z obu stron.

Do takich skrzętnych budowniczych należy ów kolega p. Pruszyńskiego, czy konkretny, czy też tylko przez autora wymyślony, jak tego chce ów pan z Polski Zachodniej. Bo zarzut nie może dotyczyć wszystkich nie-Ślązaków.

Naszych rodaków z innych dzielnic podzieliłbym na trzy kategorie: pierwsza grupa jest najszczuplejsza i należą do niej wszyscy ci, którzy będąc ludźmi dobrej wiary i mając bożą iskierkę w sercu, w niedługim czasie potrafili siebie dostosować do ludu, wśród którego żyją, ażeby tym łatwiej móc pracować nad oczyszczeniem plonu z kąkolu. Pomiędzy tymi błogosławionymi jest spory zastęp nauczycieli, — o „górze" nie wolno mi sądzić. Spotkałem niedawno znajomego młodzieńca z jednej wioski spod Mikołowa, gdzie od przejęcia „amci" dawniejszy kolega nauczyciel. Pytałem się młodzieńca o niego, a ten mi prawi o jego pracy, jak to z ludźmi żyje i t. d., „ale — mówi to widać, że jest nasz człowiek!". I nie przekonałem młodzieńca o tym, że to jest „gorol" czystej wody, zresztą nie wysilałem się. Ten człowiek wrósł tak intensywnie w wioskę, że jego uczeń już nie zdaje sobie sprawy z jego pochodzenia, to znaczy, że wioska dała mu już swój patent swojskości, że go przygarnęła do swej wiejskiej społeczności, to znaczy dalej, że zdołał zniweczyć dystans społeczny, dzielący nie tylko nauczyciela — inteligenta od chłopa i robotnika, ale także obcego od Ślązaka.

Druga grupa to ludzie dobrzy, ale nie obdarzeni ową iskierką bożą, szukający wprawdzie dróg zbliżenia, ale z czasem rezygnujący z wysiłków. Oni wiedzą o tym, że istnieje zagadnienie antagonizmu, oni wiedzą także, że nie wszystko jest u nas w porządku, ale wolą milczeć i odrabiają dobrą pracę zawodową i niejednokrotnie cichą pracę społeczną, nasze przykre zaległości na Śląsku.

Zaś trzecia kategoria to grono tych ludzi, z których rekrutuje się przyjaciel p. Pruszyńskiego. Niech mi nikt nie mówi, że takich mało. Sam na własnej skórze przeszedłem i przechodzę niejedno i nauczyłem się bystro patrzeć na świat. Tacy panowie nawet jeszcze nie wiedzieli, gdzie to tak właściwie ten Śląsk leży, a już odsądzili w swej niczym nie pohamowanej zarozumiałości wszystkich Ślązaków od czci i wiary. Przyszli i przychodzą z gotowymi aksjomatami. Ślązak to pijak, nieuk, arogant, kwerulant, który bez kierownictwa niczego nie umie dokonać. Dlatego my jesteśmy stworzeni do rządzenia, a oni do słuchania.

I tu już zmuszony jestem wchodzić w sprawy delikatne, o których wolno mówić tylko na ucho, i to jeszcze pod groźbą zarzutu najskrajniejszego separatyzmu, ale o czym mimo wszystko na Śląsku każdy wie.

Czy nie słuszne są wywody p. Pruszyńskiego o tych olbrzymich gmachach, pełnych urzędników, ale gdzie Ślązaka na wyższym stanowisku trzeba szukać przy pomocy świeczki?

Słyszę, jak ze wszech stron podnoszą się zaraz zarzuty: prawda, ale Ślązaków nie ma! Nie ma nawet na lekarstwo, a reszta się nie nadaje. Jakto! nie ma? A skądżeż mi się wzięli do akcji plebiscytowej i do powstań! Nie trzeba to było mieć trochę cierpliwości z niektórym biedakiem, ażeby nabył trochę rutyny i wiedzy, czy w razie nienadania się jednego, nie można było popróbować z drugimi? Czy fakt, podnoszony przez gazety, że nasza Dyrekcja Kolei sprawniej pracuje niż krakowska, wynika z spejalnej adaptacji wysokiej dyrekcji, pochodzącej, jeżeli chodzi o górę, wyłącznie nie ze Śląska, albo też raczej bierze swój rodowód z zjawiska, że tym maszynistą, kierownikiem pociągu, konduktorem i t.d. jest Ślązak!?

Niewątpliwie nie można było brać pełnymi garśćmi, bo inteligencji prawie że nie było, ale przecież u nas zajmuje tak dużo niefachowców różne bardzo ważne stanowiska! A pozwolę sobie jako świeży magister praw zapytać, czy to studium prawnicze, zwłaszcza w czasie wojny, dało aż tak wysokie wykształcenie i absolwentowi tak wszechstronną możliwość adaptacyjną do wszelkich stanowisk. Znam przecież kolegów naczelników gmin, zwykłych dawnych robotników, którzy niejednemu prawnikowi mogliby pokazać, gdzie pieprz rośnie.

A drugi zarzut brzmi: tak, próbowano ze Ślązakami, ale jeżeli już zupełnie nie zawiedli, tak że ich trzeba było z stanowiska usunąć, to w każdym razie wykazują na zajmowanych stanowiskach bardzo kiepskie wyniki pracy.

I tu znowu muszę powiedzieć trochę prawdy. Dobiera się od pewnego czasu na stanowiska ludzi, należą-

cych do pewnej organizacji, która zrzesza wprawdzie tysiące najlepszych synów Śląska w swoich szeregach, ale niestety nie wszystkich. Przecież wiemy, że w ostatnich latach usunął się bardzo poważny odsetek inteligencji śląskiej od „de publicis", a drudzy symtyzujący nawet z tym związkiem nie potrafią zginać karku. Zresztą taka już jest natura Ślązaka! Ale gdyby jej nie było, nie byłoby dziś polskiego Śląska! Oczywiście że i w tym związku, jak to zresztą wszędzie się dzieje, jeden umie lepiej kadzić od drugiego, jeden lepsze plecy wyszukiwać niż drugi, a my wiemy wszyscy, ile tak zwany rowerzysta w życiu publicznym jest wart. Zresztą taki zarzut można postawić wszystkim, którzy pokładane w nich zaufanie zawiedli, a nie tylko Ślązakom.

Inna rzecz, że właśnie tacy Ślązacy, którzy wprowadzają do walki o byt tylko swoje zasługi i w żadnej mierze nie zdołali dotąd przeprowadzić pewnej wewnętrznej i zewnętrznej adaptacji, i wskutek tego muszą zostać zdystansowani przez innych, albo też tacy, którzy wyrośli jak grzyby po deszczu i też tak szybko znikęli, tworzą liczną kadrę osobników niezadowolonych. Znani są z tego, że właśnie oni, żywiąc niezatarty żal do nie-Ślązaków, tworzą zespół wykwalifikowanych speców od murowania barykady z tej drugiej strony, idąc w zawody z ludźmi — dziećmi ducha kolegi p. Pruszyńskiego.

Ażeby więc wyplenić z korzeniami ów niegodny nas Polaków antagonizm, musimy zetrzeć owych budowniczych — albo — odebrać im kartę rzemieślniczą... Jak to zrobić? Nie będę więcej proponował!!

Naszą polską pracę na Śląsku musimy budować na zaufaniu. Myśmy podali wszystkim rodakom dłoń, krwawą jeszcze od walk niepodległościowych, myśmy pełni zaufania przyszli do zbudowanej także naszymi ramionami ojczyzny, ale nam nie wystarczy tylko to, że się mówi na wiecach o bohaterskim Śląsku, o wiekopomnych chwilach, o synach piastowych i t. d. Nam też nie wystarczy, gdy się tu i ówdzie wysuwa kilku — daj, Boże, najlepszych — Ślązaków i gdy ich się posadzi na tronie potężnych. My chcemy zaufania. My, to znaczy, cały Śląsk pracy bez karierowiczów i obłudników. My chcemy zaufania od was, którzy w nas widzicie równych sobie spółobywateli wolnej ojczyzny. Ci inni nas nie obchodzą.

Zaufanie za zaufanie!

ANDRZEJ MICHNA.

Wykonanie reformy rolnej — koniecznością społeczną i państwową!

Charakterystyką naszego obecnego życia ekonomicznego jest powszechny ciężki kryzys, który przeżywają przemysł i handel, a w szczególności — wieś. Wzmagająca się ostatnimi czasy w miastach naszych ilość bezrobotnych, potrzebujących ogromnych zapomóg państwowych, ogólna nędza wsi — oto zewnętrzne objawy rujnujące nasz kraj. Na obecny ciężki kryzys ekonomiczny wsi złożyły się przyczyny czasowe, przejściowe oraz głębsze, stałe. Te ostatnie tkwią w całokształcie naszej gospodarki ekonomicznej, albowiem panujący wszechświatowy kryzys w rolnictwie pociągnął za sobą bardzo różne skutki — odpowiednio do kultury, zamożności i zorganizowania produkcji w każdym z poszczególnych krajów. Toteż w krajach biednych — takich jak nasz — gwałtowny spadek cen na produkty rolne wyraził się w pogłębieniu istniejącej już przedtem na wsi nędzy i coraz większym zadłużeniu. W krajach zamożnych i zorganizowanych kryzys cen produktów rolnych miał tylko ten skutek, że mały nawet rolnik zamiast oszczędzenia w danym roku kilku tysięcy złotych, odłożył ich mniej, a w najgorszym razie nie zrobił żadnej oszczędności. Mając jednak gotówkę z dawnych lat, może on przeczekać nawet i kilka lat, nie zmieniając nic w swoim zwykłym trybie życia. Dlatego też w tej różnicy między naszym a obcym rolnikiem — tkwi cała zagadka, a jednocześnie i odpowiedź na istotną przyczynę przeżywanej przez naszą wieś klęski. A jest nią — brak oświaty, niski stopień produkcji rolnej i jej nieprzystosowanie się do potrzeb tak wewnętrznego, jak i zewnętrznego rynku zbytu. Dopóki więc wieś nasza nie wybrnie z tej sytuacji, czeka ją w przyszłości nie jeden jeszcze kryzys! Toteż cała nasza polityka ekonomiczna winna być nastawiona na podniesienie i zorganizowanie produkcji rolnej. Jest to praca ciężka i długa, w której przede wszystkim winny wziąć udział Izby Rolnicze i Kółka Rolnicze, — ale jedynie prowadząca do celu, do zrobienia z Polski kraju prawdziwie cywilizowanego i mocarstwowego. Chodzi tutaj przecież o interes całego kraju, gdyż wieś kulturalna, zorganizowana, bogata, to cała Polska zamożna i potężna! W kraju, w którym 70% ludności pracuje na roli, osią ekonomicznego i państwowego życia musi być wieś, co zresztą jest nawet bardzo szczęśliwe dla naszej przyszłości..., albowiem prawdziwie zdrowy stan ekonomiczny jest przeważnie tylko w krajach, opartych na samowystarczalnej produkcji, czerpiącej swe źródło w naturalnych bogactwach, wśród których rola zajmuje pierwsze miejsce. I dlatego też bogactwo Stanów Zjednoczonych lub Francji zależy głównie od bogactw naturalnych, jakie te kraje posiadają, oraz od istnienia wewnętrznego rynku,

pochłaniającego wielką część produkcji przemysłowej. Polska ma wszelkie warunki, aby stać się jednym z tych zdrowych ekonomicznie organizmów; posiada bowiem ogromne naturalne bogactwa, dotychczas nie wyzyskane skutkiem przeszło stuletniej niewoli, rozporządza ogromną ilością rąk roboczych, ma doskonałego i pracowitego tak miejskiego, jak i wiejskiego robotnika, o wartości którego najpochlebniej odzywają się obcy, korzystający z rąk roboczych polskich. Trzeba tylko umieć wyzyskać te cenne dane...., a wówczas może być u nas lepiej, niż dotychczas.

Od chwili powstania Państwa Polskiego należało skierować jak największy wysiłek ku uprzemysłowieniu i podniesieniu produkcji rolnej. Niestety, do ostatnich czasów prawie cała uwaga naszych sfer kierowniczych była zajęta potrzebami przemysłu i handlu, natomiast bardzo mało uwagi zwracano na wieś i pozostawiano ją swemu losowi. Rolnictwo było kopciuszkiem w naszej gospodarce państwowej. Gdyby zrozumiano w porę, że klucz dobrobytu całego kraju znajduje się na wsi, to minister rolnictwa zajmowałby w Rządzie Rzeczypospolitej Polskiej pierwsze miejsce! Zapewne, może ktoś zapytać, cóż wielkiego mógłby zrobić minister rolnictwa, posiadający wszelkie potrzebne kwalifikacje i rozporządzający nawet znacznie większymi funduszami, niż obecnie i lepszym aparatem wykonawczym, — wobec nędzy, panującej na wsi i wobec niemożliwości należytego zorganizowania i podniesienia produkcji bez włożenia ogromnych, inwestycyjnych, długoterminowych i tanich kapitałów? Niewątpliwie, bez łatwego kredytu ani reforma rolna nie może być przeprowadzona, ani dobrobyt wsi podniesiony. Jednak należy robić, co tylko jest w mocy, aby dostarczyć wsi taniego kredytu. Dziś, społeczeństwo nasze zaczyna powoli wyczuwać, iż klucz do walki z ogólnym zubożeniem kraju i ze stale mu grożącymi kryzysami ekonomicznymi znajduje się na wsi i że od podniesienia siły nabywczej mas chłopskich, od ich dobrobytu zależy i bogactwo całego kraju; lecz tak samo należy postawić na należytej stopie i oświatę mas wiejskich, bez której nie można nic poważnego i trwałego zbudować! Temu chyba nikt nie zaprzeczy?

Zagadnienie parcelacyjne niema u nas szczęścia, brak mu bowiem gospodarczego podejścia w wykonaniu. A jednak w interesie gospodarstwa społecznego leży likwidacja majątków, nie wywiązujących się ze swych obowiązków podatkowych wskutek nieudolnej gospodarki lub nadmiernego zadłużenia. Tym więcej, iż zbyt demoralizująco wpływa na pozostałych płatników, a zwłaszcza na drobne rolnictwo, systematyczne i bezkarne niepłacenie podatków przez większą własność ziemską. Wprawdzie czyniono w ostatnich latach próby ożywienia parcelacyjnego, jednak próby te zawiodły prawie całkowicie, tak że w dobie zabiegów oddłużeniowych rolnictwo polskie zostało pozbawione tak ważnego czynnika obrotu gospodarczego, jakim jest parcelacja większej własności.

W tym samym zaś czasie przeludniona wieś, nie mająca możliwości ulokowania w miastach i na emigracji nadwyżki wciąż wzrastającej ludności, skazana została — w warunkach, jakie się wytworzyły w rolnictwie — na nędzę gospodarczą, a wskutek wzmagającego się procesu rozdrobniania swych gospodarstw — zbliża się do gospodarki naturalnej, coraz bardziej zatem przestając być konsumentem na rynku przemysłowym. To trzeba sobie jasno powiedzieć! W tych warunkach zrozumiałym jest dalej, iż gospodarstwa chłopskie będą nadal się dzieliły, nawet przy zapoczątkowanym i rozszerzonym finansowaniu spłat rodzinnych, o ile nie będą mogły obrócić tego kredytu na kupno gruntu z parcelacji większej własności.

Wobec niemożności ruszenia sprawy parcelacyjnej z martwego punktu w formie zamierzonej w roku 1932 parcelacji oddłużeniowej, należy się zatem obecnie wyraźnie zdecydować na przejęcie na Skarb Państwa części większej własności ziemskiej — za należności skarbowe i w ten sposób zgromadzić potrzebny zapas ziemi na parcelację dla stworzenia nowych gospodarstw chłopskich względnie powiększenia istniejących. Toteż dalsze odwlekanie momentu urealnienia parcelacji ze szkodą dla całego życia gospodarczego kraju — nie powinno mieć miejsca. Zdaje się jednak, że dojrzewa to zrozumienie, iż zabieg ten niemniejsze ma znaczenie od popierania np. ruchu budowlanego w miastach, przy czym bez szeroko pojętego zabiegu parcelacyjnego nie będzie się mogło obejść.

Należy dodać, iż z tym, co wyżej mówiliśmy o ożywieniu ruchu parcelacyjnego, wiąże się ściśle i konieczność poddania rewizji obowiązującej ustawy „o wykonaniu reformy rolnej“ z dnia 28. XII. 1925 r. (Dz. U.R.P. nr. 1, poz. 1 z 1926 r.) oraz dostosowania jej do dzisiejszych zmienionych warunków, a zwłaszcza pod kątem uzgodnienia zabiegów konwersyjnych z finansowaniem parcelacji — przede wszystkim oddłużeniowej. Argument wyjęcia na dłuższy czas parcelowanych gruntów z czynnego obrotu gospodarczego, którym jeszcze i dzisiaj bardzo chętnie w niektórych kołach się posługują dla zwalczania samej idei rolnej, teraz stał się już chyba nieistotny?.... albowiem tak pojęta parcelacja — działałaby pobudzająco na psychikę rolników w kierunku wzmożenia produkcji, przy czym zwiększenie konsumcji wsi przestałoby być fikcją i odbiłoby się przede wszystkim w zapotrzebowaniu na nawozy sztuczne, narzędzia rolnicze i t. p. W efekcie dałoby to napewno znacznie więcej niż wszystkie dotychczasowe zabiegi w dziedzinie podniesienia produkcji i cen płodów rolnych do poziomu ich opłacalności.

A zatem, przeprowadzając pewne reformy w strukturze agrarnej Polski oraz podnosząc stan kulturalny

ludności wiejskiej — można wybitnie podnieść dotychczasową produkcję, przede wszystkim zwierzęcą, ogrodniczą oraz warzywniczą, mniej natomiast kłosową. Wadą obecnego ustroju rolnego Polski jest i znikoma ilość drobnych gospodarstw chałupniczych robotników fabrycznych, inteligencji i półinteligencji miejskiej i podmiejskiej, gdy tymczasem na Zachodzie Europy np. w Belgii, Holandii, Anglii, w prowincjach nadreńskich — prawie każdy robotnik i pracownik biurowy posiada małą parcelkę, często nawet poniżej $^1/_2$ ha., własny dom, własne ziemniaki, warzywa i owoce, własną gromadkę drobiu i królików, a nawet wieprza, przy tym mieszka w warunkach higienicznych i nie tłoczy się w dusznych domach koszarowych. Dlatego też zagranicą, w chwilach dłuższego zastoju przemysłowego, bezrobocia, pożaru itp. robotnik może, wprawdzie z biedą, lecz bez głodu, przeżyć nawet dłuższy kryzys, czerpiąc środki ze swej małej działki gruntu. W takich też warunkach robotnik mniej skłonny jest do wychodźtwa, włóczęgostwa, a nawet i do wszelkich wywrotowych akcji, przy tym — z chwilą stworzenia gęstej podmiejskiej sieci drobnych osad chałupniczych — następuje raptowny spadek przestępczości, zwiększa się ilość małżeństw i dzieci legalnych. Wprawdzie te drobne warsztaty nie są właściwymi gospodarstwami rolniczymi, gdyż w normalnych warunkach nie wyrzucają produktów swoich na rynek miejski, jednak w wybitny sposób pośrednio ułatwiają aprowizację kraju, zmniejszając tym samym konsumcję rynkową, a ta rzecz nie jest bez znaczenia przy eksporcie płodów rolnych na rynki zagraniczne.

Przy tego rodzaju osadnictwie winna być prowadzona i swoista polityka kredytowa, oparta w zasadzie na wzorach zagranicznych — Anglii, Belgii itp., gdzie robotnik, czy inteligent nabywa parcelę wraz z wybudowanym domkiem z tym, że spłaty nie są dokonywane rocznie, ani półrocznie, lecz potrącane przy każdej wypłacie, co jest przecież znacznie lepsze pod każdym względem.

JERZY ZAKRZEWSKI.

O inną atmosferę.

Żyjemy w wielkim okręgu przemysłowym, w największym w Polsce skupisku ludzkim, gdzie przeciętne zainteresowanie a zatem i udział człowieka w życiu publicznym jest znacznie wyższy niż gdziekolwiek indziej na polskich ziemiach. Interesujemy się znacznie większą ilością spraw i zdarzeń niż nasi rodacy z Wileńszczyzny czy Polesia, bo tam takie czy inne zdarzenia nie potrafią tak szybko zakłócić ich trybu życia, mniej więcej ustabilizowanego, oczywiście na najniższym poziomie. My tu tkwimy w świecie zjawisk i zdarzeń tak silnie ze sobą poplątanych i od siebie uzależnionych, że sprawy ceny węgla, redukcji załogi na kopalni, czy wreszcie stanu zbrojeń niemieckich odbijają się bezpośrednio i dość szybko na naszym życiu i dlatego nie mogą być nam obojętne.

Utarło się, na Śląsku niesłuszne, moim zdaniem, przekonanie, że podnoszenie spraw przykrych i drażliwych, które zachodzą wśród społeczeństwa polskiego jest wobec naporu niemczyzny osłabianiem jednolitego frontu polskich organizacyj. Tak jednak nie jest. Wszelkie krzywdy czy niesprawiedliwości, które się działy, dzieją i dziać będą, wymagają reakcji w interesie zbiorowym np. wypadki niewłaściwego traktowania robotników przez polskich inżynierów. To nie jest sprawa wewnętrzna danej huty czy kopalni. Taki inżynier swoim zachowaniem się niejednokrotnie potrafi zrazić do państwowości polskiej szereg ludzi, którzy widzą w nim symbol rządów polskich.

Z jednej strony może nam się zdawać, że wszystko w naszym polskim życiu organizacyjnym w najlepszym porządku, boć przecież rzeczywiście:

1. stopień uspołecznienia na Śląsku jest bardzo wysoki, niewiele ludzi stoi poza życiem organizacyjnym;
2. istnieje ogromna ilość zrzeszeń i organizacyj różnego typu i składu, inicjatyw, ambicyj, dążeń i tp.

Musimy choć na chwilę oderwać się dziś od naszych terenów pracy i rzucić snop światła na tę platformę zbiorowego życia, gdzie działają różne organizacje społeczne, zawodowe, oświatowo-kulturalne i organizacje młodzieży. Czy wszystko, co w tym życiu się dzieje, dzieje się dobrze, czy i jakie błędy popełniamy, jaki jest poziom tego życia, wysoki czy beznadziejnie niski a jeśli tak, to na czym zło polega i jaka jest droga naprawy?

Poruszenie na publicznym miejscu tych spraw ma i tę cenną stronę, że pobudza do myślenia nad swoją działalnością i jej społeczną wartością. Spotykamy często po organizacjach, biurach, czy urzędach ludzi, których cechuje bardzo ciekawa i w oczy się rzucająca rzecz: są w sobie tak zaślepieni, że nigdy zapewne nie zastanawiali się głębiej, czy to, co robią, jest dobre i słuszne. Są pewni tego, że wszystko jest tak jak oni myślą i nigdy nie kontrolują skutków swojej działalności, chyba przy pomocy takich samych jak oni ludzi.

W poczuciu spełnianej misji na większych czy mniejszych posterunkach żyją w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości i ludzi, których traktują jako narzędzie dla swoich celów. Mają zawsze dużo spraw, o których ogół nie wie, z którymi się tylko zaufanym zdradzają. Nazywam ten typ ludzi kacykami. Wyrządzają oni oczywiście wielkie szkody moralne, choćby przez stosunek i odnoszenie się do szarych ludzi codziennej, ciężkiej pracy.

Zagadnienie poziomu i treści życia społecznego w Polsce wiąże się najściślej ze sprawą ludzi i ich charakterów. Granicę tu łatwo przekroczyć i zacząć krytykować poszczególnych ludzi i ich działalność. Ale to nie miałoby sensu i mogłoby tylko obniżyć poziom tych moich uwag.

Warunkiem uprawniającym według nas do poruszenia w ten sposób spraw naszego życia publicznego jest to, by ci którzy to robią, sami byli w porządku ze sobą i rzeczywistość moralna i ideowa, którą tworzą, była na tyle wysoką, by uprawniała do krytyki, której celem budzić i poruszać stępione czucia a nie rozpaczać po kątach i bezradnie załamywać ręce.

Dlaczego sprawa poziomu i treści życia organizacyjnego w Polsce jest tak ważną?

Tkwiąc w tych czy innych organizacjach i środowiskach, ludzie, zwłaszcza młodzi, otrzymują w nich pewne wychowanie, kształtują swoje charaktery, swoją postawę moralną wobec życia i jego zjawisk, w końcu w pewnym stopniu urabiają swoje przekonania i poglądy życiowe. Dlatego istnieje ścisły i doniosły związek pomiędzy poziomem i treścią dzisiejszego życia organizacyjnego a poziomem, charakterem i nasileniem jutrzejszych walk społecznych a nawet układem stosunków gospodarczych. Jeśli dziś młody człowiek widzi dookoła siebie, jak ludzie, głoszący najpiękniejsze hasła, zasady tężyzny i wytrzymałości życiowej, poprostu przy pierwszej lepszej okazji schodzą na drogę najmniejszego oporu, zaprzedają swoje poglądy, rezygnują z walki, godzą się z tym, z czym się dotąd nie umieli pogodzić, za cenę trochę większej kromki chleba, niż ta, którą dotąd jedli, to cóż w tych warunkach mówić o wychowaniu!

Wychowanie ludzi w atmosferze nerwowej gonitwy za stosunkami, posadami, produkuje typy ludzkie chciwe i marne.

Temu wychowaniu produkującemu „karłów“ ja przeciwstawiam wychowanie ludzi heroicznych, niezłomnych, którzy mają poglądy jakiekolwiek by one były i umieją dla nich ponosić ofiary. W tym ja widzę wyższy sens życia. Gdy niedawno w grupie absolwentów jednego z gimnazjów krakowskich rozmawiałem o tym, jakie mają plany na przyszłość, jeden z nich przerwał zniecierpliwionym głosem całą tę zdaniem jego, bezpłodną dyskusję krótkim a jakże wymownym zdaniem: „ja idę na teologię, bo tam się można dobrze urządzić, a inni głupcy niech myślą i robią jak chcą“. Ten chłopak przynajmniej nie miał kłopotów, walk wewnętrznych i całego balastu „przesądów“ moralnych. Twierdzę, że tak przeciętnie myśli co drugi. Z tego punktu widzenia patrząc na nasze życie organizacyjne, dochodzimy do przekonania, że właśnie na tym odcinku moralnym źle się dzieje. Nie myślę rozpatrywać atmosfery moralnej i ideowej w poszczególnych organizacjach. Chodzi o całokształt życia społecznego i jego treść wewnętrzną. Dla mnie rozstrzygającym jest stosunek ludzi, zorganizowanych w jakieś zrzeszenie, do sprawy, którą prowadzą. Jeśli wierzą w sprawę i są gotowi na rzecz jej ponosić osobiste ofiary, broniąc swych poglądów i przekonań w każdej chwili i w każdej sytuacji, to wtedy mamy do czynienia z ludźmi ideowymi, którzy wszędzie i zawsze budzili największe uznanie nawet u swoich wrogów.

Jedni zadawalają się istniejącym stanem rzeczy jakikolwiek by on był, rezygnują z walki, przystosowują się do istniejących warunków, inni uznając rzeczywistość za niewystarczającą, sami chcą tworzyć jej wyższy poziom i innych w tym duchu wychowują.

W walce tej chodzi o wyrobienie moralnej postawy człowieka w życiu publicznym, którą winna charakteryzować śmiałość głoszonych poglądów, cywilna odwaga i zgodność między słowem a czynem.

Taka postawa ludzi decyduje na dalszą metę o treści i poziomie życia organizacyjnego, jak i o rozwoju czy upadku takich zrzeszeń. Większość podupadłych czy zniesionych z powierzchni życia dążeń, inicjatyw i organizacyj nie sprostało tym wymaganiom.

Najczęściej dzieje się tak: ludzie stojący na czele organizacji nawet najbardziej radykalnej w pewnej chwili zaczynają więcej myśleć o wygodnym ulokowaniu się niż o powodzeniu i rozwoju swojego ruchu. Magik, spryciarz, który poszedł do pracy z myślą o nawiązaniu stosunków i wykorzystaniu ich dla celów osobistych jako typ stał się zakałą i przekleństwem polskiego życia organizacyjnego. Dla niego nie ma poglądów, on ocenia życie inaczej, według jego doraźnych efektów a nie istotnie bezinteresownej pracy. Taki typ pracownika społecznego wytworzyła inteligencja i przyjął się on szybko na żyznym gruncie życia społecznego Polski a co gorsze nadał mu ton z oczywistą szkodą dla jego poziomu i treści.

Przy wstępowaniu w progi życia organizacyjnego mogą odgrywać rolę u ludzi pobudki ideowe lub wyrachowanie. Pierwsze powstają i rozwijają się na skutek silnego i głębokiego odczuwania wagi zagadnień i spraw, stojących w danej chwili przed zbiorowością, na rzecz której się pracuje. Pobudki

pozaideowe mogą być różne a są najczęściej oparte na zasadach zwykłej kalkulacji. W takich wypadkach celem dla człowieka jest tak zwane „mechaniczne wybicie się“, środkiem nawiązanie stosunków.

Stawiam tezę, którą, moim zdaniem, trudno będzie zwłaszcza dziś obalić: o *wartości jakiejkolwiek społecznej działalności* (oświatowej, zawodowej czy politycznej) *decyduje w równym stopniu jej poziom moralny jak kierunek ideowy.*

Jak w tym świetle przedstawia się polskie życie organizacyjne? Cechuje je ogromne rozproszkowanie, czego objawem duża ilość organizacyj, powołanych do tych samych zadań. Przy dużej ilości organizacyj brak im ducha i ideowej atmosfery z powodu mechanicznej najczęściej przynależności członków.

Drugim charakterystycznym zjawiskiem to powstawanie organizacyj w sposób sztuczny, nie wypływający z przeżyć ideowych ale często z inicjatywy urzędowej lub ambicji prowincjonalnego działacza.

Z tych powodów tarcia i walki między organizacjami mają najczęściej podłoże osobiste.

Na dowód powyższych twierdzeń przytoczę fakt, że w jednej z miejscowości położonych w pobliżu Katowic (Nikiszowiec) działa ponad 100 różnych polskich organizacyj. Nadmienię, że miejscowość ta liczy zaledwie kilka tysięcy mieszkańców.

Skąd pochodzi ta inflacja organizacyjna?

Stąd moim zdaniem, że każdy większy czy mniejszy działacz prowincjonalny ma ambicję tworzenia swojej organizacji bez względu na to, czy spełnia podstawowe warunki moralne i ideowe. Tysiące najdrobniejszych związków i związeczków zakłada się przy każdej sposobności, przy każdym biurze, czy innej instytucji. Skupiają one ludzi najczęściej w sposób przymusowy zajmując cenny czas, nie wyzwalając ludzkiej energii ani zapału.

Inicjatywa do zakładania organizacji wychodzi najczęściej z poza grona tych ludzi, którzy mają w niej tkwić i pracować. Szereg organizacji młodzieżowych o charakterze politycznym powstało w ten sposób, że władza niezadowolona z istniejącego stanu rzeczy na terenie młodzieżowym, dała inicjatywę do ich powstania. Jest rzeczą jasną, że o pobudkach ideowych trudno w takim wypadku nawet mówić. Na ten „zew“ chętnych zbiegło się wielu, zwłaszcza w tych warunkach, gdy organizacja miała zapewnioną opiekę władzy. Takie próby nie przeżywają zwykle swoich inicjatorów.

Nie znaczy to bynajmniej, by ci, którzy rządzą, nie mieli moralnego prawa do organizowania swoich zwolenników. Przeciwnie. Tylko podstawy ideowe i moralne takich przedsięwzięć muszą być zupełnie

KAZIMIERZ FORYŚ.

Oczekiwanie.

Liczycie majowe nadzieje w kiściach zieleni,
z lękiem patrzycie co dzień na obietnice ziemi.

Może już jutro z rana łan salwą kłosów wystrzeli,
oszuka chudy piątek plonem idącej niedzieli.

Tak trudno czekać. Wargi gorące, suche jak ziemia
szepczą wieczorem po miedzach: — już nawet rosy nie ma.

Ściskacie twarde pięści, głód oczy buntem zapala,
w spękanej grudzie wiosennej pisze się wasza dola,
ludzie!

Rzeźbiarzowi z dalekiego Beskidu.

Kozik w garści i portki wiecznie rozpięte.
Spuchnięta połowa gęby.
Świątki skończone, świątki zaczęte,
w izbie zadymionej po zręby.

Czyją to rzeźbisz Golgotę
lękiem myśli, palców omdleniem,
Wowro niezgrabny?
Wowro bezradny!
Za marne rozdajesz złote
dolę swoją, wystruganą cierpieniem.

Piszą o tobie w Paryżu i w Befflo
kolumnami drukują zachwyty,
że jesteś wielkim artystą
i dobrze podchodzisz pod prymityw.

A ty nie wiesz jak smakują słowa:
„pełny“, „słodki“, „masny“, „do syta“,
ale wiesz jak smakuje zacierka jałowa
z garstki spleśniałego żyta.

I chociaż izbę ozdobisz
tłumem aniołów radosnych,
nic nie poradzisz,
serce podzielisz z Bolesnym.

Tak — jak ziemniaki dzielisz, wydłubane z trzech zagonów kamieni.
Łatwo o głodną sławę, trudno o uśmiech ziemi.



inne. Nie można bowiem organizować ludzi w tym celu by ich wystawiać w pewnej chwili na ciężką próbę charakteru.

O charakterze stosunków między niektórymi organizacjami, daje pojęcie następujący fakt: badałem raz, dlaczego członkowie organizacji X uważają za swoich wrogów członków organizacji Y? Myślałem, że może dlatego, że jedni wyznają takie, drudzy inne ideały.

Okazało się jednak w rozmowach przeze mnie przeprowadzonych, że przyczyną sztucznych, jak się okazało, antagonizmów między jednymi a drugimi, jest to, że władze jednego i drugiego związku wychowują swoich członków może czasem nieświadomie w skorupie przesądów i sztucznych przeciwieństw. Panowie A i B np. członkowie zarządów konkurujących ze sobą organizacyj, mają stare osobiste niewyrównane osobiste porachunki polityczne i młodych wychowują w takiej atmosferze. Walki poglądów czy dwóch przeciwstawnych ideologii nie ma, bo ta była by uzasadniona.

Sprawa stosunku inteligencji do organizacyj robotniczych jest fragmentem całego zagadnienia. Na temat ten pisałem już nieraz na łamach „Kuźnicy", i tak np. w artykule p.t. „Inteligencja a Świat Pracy" podnosiłem jako rzecz charakterystyczną, że pod względem ekonomicznym ogromny odłam polskiej inteligencji należy do proletariatu, gdyż nic nie posiada i nie przewyższa pracujących robotników dochodami, poza tym bezrobocie wśród tej warstwy szerzy się w tym samym stopniu, co wśród robotników. Stosunkami zaś i ambicjami kulturalnymi należy inteligencja do warstw wyższych, do klas posiadających, psychicznie zaś nie umie pogodzić się ze swoją proletaryzacją.

W organizacjach robotniczych nie umieją pracować inteligenci. Źle się czują. Często po krótkim czasie pobytu windują się tak szybko w górę po stopniach społecznej hierarchii, że tracą głowę i pamięć. Trzeba w tych warunkach długiego i wielkiego wysiłku na to, by inteligent zdobył zaufanie wśród robotników.

Uważam, że przepaść, jaka dzieli poszczególne warstwy narodu od siebie, musi być zakopana, gdyż inaczej w chwilach krytycznych może się stać przyczyną klęski, jak już nieraz w naszej historii bywało. Odbudowa tego zaufania nastąpi wtedy, gdy sprawy poprawy bytu materialnego a zatem podniesienia się kulturalnego milionowych rzesz polskiego chłopstwa i polskich robotników znajdą szczerych i ideowych obrońców w szeregach polskiej inteligencji.

ALEKSANDER MODES.

Podłoże rozruchów na wyższych uczelniach.

Miarą siły ostatnich rozruchów młodzieży akademickiej jest nie tylko to, że wywołały one oświadczenie Prezesa Rady Ministrów i Ministra Oświaty, odezwę Rektorów wyższych uczelni, uchwałę Rady Miejskiej miasta Lwowa, Starszego Harcerstwa w Wilnie, oraz innych pomniejszych czynników, ale przede wszystkim to, że pod względem natężenia i czasu trwania przeszły chyba wszystkie, notowane do tej pory rozruchy akademickie w Polsce niepodległej. Gdy z tym ostatnim połączy się fakt, że wspomniane rozruchy pojawiają się co roku, trzeba wyciągnąć wniosek, że stają się one składowym elementem życia akademickiego w Polsce, zdradzającym wszelkie cechy trwałości.

W należytym rozpoznaniu każdego zjawiska momentem decydującym jest ustalenie jego właściwych przyczyn. W odniesieniu do zjawiska, o którym mowa, należało się spodziewać, że czynniki, które w tej sprawie zabierały głos, a zwłaszcza prasa, będą usiłowały zbadać bliżej podłoże, na którym ono wyrosło i rozwija się. Tymczasem prawie na całej linii nastąpiło coś wręcz przeciwnego. Weźmy dla przykładu prasę. Prasa t. zw. opozycyjna ograniczyła się przeważnie do suchych notatek, stwierdzających fakty, które zaszły. (Wyjątek w tym względzie stanowi np. „Orędownik" z dn. 30. XI. br.) Z notatek powyższych wyczuwało się, zwłaszcza gdy chodzi o pierwszą fazę rozruchów, gdy nie było jeszcze znane stanowisko społeczeństwa w tej sprawie, że zamieszczano je raczej z konieczności.

T. zw. prasa prorządowa, a głównie „Gazeta Polska", piętnując rozruchy, starała się wytłumaczyć społeczeństwu, że jakaś banda niepoczytalnych młodzików, stale podburzanych przez wiadome czynniki polityczne, żerujące na naiwności poczciwych, młodych chłopców z pierwszego roku, doprowadziła do tych niecnych wydarzeń. Pewne czynniki bowiem stale usiłują siać w Polsce ferment, wyzyskując w tym celu zręcznie nastroje antysemickie. Tak w nieco drastycznym oświetleniu wyglądają przyczyny rozruchów akademickich według relacji „Gazety Polskiej". W swych mentorskich zapędach nie zapomniała G. P. o pouczeniu rektorów wyższych uczelni, jak winni pisać odezwy do młodzieży akademickiej (sic!). Usiłowania, mówiąc delikatnie, co najmniej zbyteczne.

(Coprawda lojalnie muszę wyznać, że podając wiadomości o rozruchach w drugiej ich fazie, wspomniana redakcja zmieniła nieco postawę. Czyżby ich zasięg na wszystkie środowiska uniwersyteckie przekonał ją, że przyczyny rozruchów jednak muszą być głębsze?)

Jedno i drugie stanowisko wspomnianych odcieni prasy jest niewłaściwe, bo ani o krok nie wyjaśnia problemu, przeciwnie, wytwarza szkodliwy mętlik naokoło tej tak ważnej sprawy. A sprawę trzeba wyjaśnić. I oto cel niniejszego artykułu. W Polsce od dłuższego czasu zakorzenił się w pewnych zwłaszcza „sferach" paskudny zwyczaj przechodzenia do porządku dziennego nad najbardziej drażliwymi za-

gadnieniami naszego życia zbiorowego, albo zaciemniania ich właściwego oblicza, oraz ciskania kamieniami na tych, którzy mają odwagę stawiać te zagadnienia we właściwym świetle, jako rzekomo siejących ferment. Ze zwyczajem tym trzeba walczyć.

Zanim jednak przejdę do omówienia właściwych przyczyn rozruchów na wyższych uczelniach, pozwolę sobie jeszcze na jedną uwagę. U podłoża rozruchów w środowiskach uniwersyteckich, które w tym roku przejawiły się w tak specjalnie przykrych formach, jak demolowanie lokali szkolnych, pobicie woźnego, używanie tępych narzędzi itp., może i są ślady działania pewnych partii politycznych, albo nawet roboty nieodpowiedzialnych elementów spośród młodzieży. Ale jeśli one istotnie są, to są to jednak przyczyny bardzo drugorzędne. Mówiąc obrazowo, są to iskry, padające już na skądinąd mocno zapalny grunt.

Ostatnie wydarzenia w środowiskach uniwersyteckich są objawami tego rodzaju rosnącego w narodzie niezadowolenia z obecnej rzeczywistości polskiej, co Przytyk, rozruchy chłopskie, strajki i inne. Tak należy patrzeć na ostatnie zajścia w środowiskach uniwersyteckich, a nie jak to bezczelnie i cynicznie robi M. Dąbrowska, która, mówiąc o wypadkach na wyższych uczelniach, tak między innymi pisze: „...W bieżącym roku studencka zaraza pogromowa przeniosła się już z uniwersytetów na ulice... „Bodaj wielki cham nadciąga nad Polskę, nie z dołu, tylko z góry i jeśli nie znajdzie odporu, zwróci się niebawem przeciwko wszystkiemu co prawe, światłe, szlachetne i rozumne...“! Te frazesy M. Dąbrowskiej są wymownym dowodem, w jakim stopniu jeszcze niektórzy Polacy pracują na rzecz czynników wrogich narodowi polskiemu. Tej haniebnej robocie trzeba będzie raz zdecydowanie położyć kres.

A teraz na kilku przykładach zilustruję, jak wygląda ta obecna rzeczywistość polska.

W dziedzinie gospodarczej myślą przewodnią polityki polskiej w okresie kilku ostatnich lat była do cna już dziś skompromitowana zasada „zaciskania pasa“, obniżania stopy życiowej, a więc najfatalniej pojęte hasło oszczędzania, gdyż podobno należało wytrwać do chwili rzekomego nadejścia „dna kryzysu“, zaciskanie pasa odbywało się w specyficznie pojęty sposób, bo kosztem warstw najbiedniejszych. W wyniku tej polityki mamy dziś kilka milionów bezrobotnych, oraz fakt, że Polska pod względem produkcji, konsumcji, stopy życiowej, skali potrzeb, kultury gospodarczej i organizacji gospodarstwa została zepchnięta niemal dosłownie na ostatnie miejsce w rzędzie państw europejskich. Taki jest faktyczny bilans owej słynnej polityki przetrwania. W szczegóły naszej sytuacji gospodarczej nie tu czas się wdawać.

Weźmy inny przykład: politykę mniejszościową. I znów Polska jest jedynym bodaj krajem w Europie, który w sprawie rozwiązania zagadnienia mniejszości nie zrobił prawie ani kroku naprzód. (O rozwiązaniu kwestii mniejszości niemieckiej trudno w ogóle mówić, bo odzyskuje ona systematycznie swój stan posiadania). A przecież żadne państwo — poza Czechami — nie posiada tak skomplikowanego problemu mniejszościowego jak Polska, co w naszych warunkach geopolitycznych nabiera szczególnego znaczenia. Ale to nie wszystko. Mniejszość ukraińska i żydowska znakomicie w ostatnich zwłaszcza latach pomnożyła swoje wpływy i swój stan posiadania. Jakżeż miała nie pomnożyć, kiedy dewizą naszej polityki na odcinku żydowskim było niejednokrotnie mniej lub więcej otwarte sprzyjanie żydostwu. Dopuszczono ich przecież do decydującego nieraz wpływu na podstawowe dziedziny naszego życia: przemysł, finanse, handel zagraniczny, naukę, prawodawstwo itp. Rzeczy tych nie uda się ukryć przed społeczeństwem. Nie dziw więc, że buta żydowska, mając taką pożywkę, przechodzi granice (np. demonstracja żydów przed jednym z świeżo założonych sklepów polskich w Katowicach, zapowiedź pobicia sędziwego profesora ze strony studentów-żydów, gdy nie zmieni swego stosunku do żydostwa). Ale to nie razi nikogo z pod znaku Dąbrowskiej i „Kuriera Porannego“, bo to jest... „prawe, światłe, szlachetne i rozumne“.

Idźmy dalej. Pominę w serii tych przykładów szkołę. Powie się o niej przy innej okazji. Zatrzymam się natomiast nad najważniejszą chyba dziedziną życia każdego narodu i społeczeństwa, nad moralnością. Moralność w Polsce współczesnej, a szczególnie moralność pewnych warstw społeczeństwa, nie stała nigdy tak nisko, jak w chwili obecnej. Dowodów jest taka moc na każdym kroku, że doprawdy nie wiadomo już, które z nich wybrać. Nie myślę o tej stronie moralności w Polsce, której objawy stale obserwujemy w rosnących pozycjach kroniki kryminalno-sądowej. Dotknę tej strony naszej moralności, która ujawnia się w stosunku obywatela do państwa, do dobra publicznego, w stosunkach obywateli między sobą, czy władz do obywateli, albo biurokracji do społeczeństwa. Zestawmy kilka faktów.

Ciągle — wbrew najróżniejszym okólnikom — spotyka się fakt kumulacji kilku posad w rękach jednej osoby, albo jednej rodziny. Nikt nie odbiera kobiecie prawa do pracy na swoje utrzymanie. W wypadku jednak, gdy mąż zarabia np. 1000 i więcej złotych, jest karygodnym wykroczeniem przeciw moralności zajmowanie posady przez żonę i odbierania chleba wykwalifikowanym, bezrobotnym pracownikom. Nie może budzić wątpliwości z punktu widzenia moralnego taki powszechnie znany fakt, o którym mówię nie z egoizmu, że przed kilku laty wydano ustawę

uposażeniową, która rażąco krzywdzi niższych funkcjonariuszy na korzyść wyższych. Jest szkodliwa i niemoralna nie tyle dlatego, że pauperyzuje urzędnika, ale głównie dlatego, że zniechęca go do porządnej pracy na posterunku i nad sobą i wytwarza w nim to, co najgorsze, apatię. Ustawę wydali ludzie, którzy przy każdej sposobności uginali się pod brzemieniem dobra publicznego i poświęcania się dla tego dobra. Aby już skończyć z przykładami, nawiasem zwrócę uwagę na atmosferę, panującą na wszystkich prawie stopniach administracji, którą cechuje tchórzostwo, brak odwagi i zdania, no i zakłamanie. To zakłamanie, które należy do najistotniejszych cech życia publicznego u nas.

Oto fragmentaryczny obraz obecnej polskiej rzeczywistości. W świetle tej rzeczywistości inaczej muszę ocenić rozruchy młodzieży akademickiej, a nie jak to zrobiły odłamy pewnej prasy. Nie przeczę, że są w tych wypadkach momenty, które rażą. Na tle jednak scharakteryzowanej rzeczywistości muszę je traktować jako jeden z przejawów dążeń do Polski narodowej i moralnie zdrowej.

Wypadki, jakie przez kilka tygodni rozgrywały się na wyższych uczelniach, nie mogą być zjawiskiem trwałym. Trzeba im zapobiec. W jaki sposób? Oczywiste, że nie w sposób, jaki perfidnie podsuwa władzom „Kurier Poranny“, mianowicie przez stworzenie straży rektorskiej. Szkoda się łudzić. Zaradzić rozruchom wśród młodzieży akademickiej może tylko uwzględnienie ich postulatów, a zwłaszcza najważniejszego, tj. jak najdalej idącego ograniczenia dostępu żydostwa na wyższe uczelnie w Polsce. Za jego słusznością przemawia nie tylko solidarne stanowisko bezwzględnej większości młodzieży uniwersyteckiej, ale również moralne poparcie zdecydowanej większości narodu.

ALOJZY TARG.

Po sejmie prawników.

Sejm? Prawnicy? Niejeden z czytelników wzruszy ramionami lub szybko przerzuci kartę pisma takim opatrzoną tytułem.

Kumulując w tytule pojęcia o zabarwieniu niemodnym, ryzykuję tego rodzaju reakcję czytelnika. Ryzykuję świadomie, by podjąć polemikę w tym właśnie punkcie.

Sprawy sejmowe niewątpliwie mało nas zaprzątają w ostatnich czasach. Ale czy fakt, że wybrańcy narodu nie mają sposobności czy nie chcą — nie wchodzę w to — w szerszej mierze zabierać głosu nad zagadnieniami podstawowymi dla naszego współżycia, jest jednoznaczny z brakiem potrzeby dyskusji o tych zagadnieniach?

I dla prawników jakoby nieszczególne nastały czasy. Odkąd ustawiczne zmiany i mnożenie się przepisów prawnych przybrały tak niesłychanie na sile, że Dziennik Ustaw staje się lekturą bardziej sensacyjną od najciekawszych magazynów powieściowych, odtąd wszyscy staliśmy się poniekąd prawnikami. Każdy czyta ustawę i każdy powinien ją rozumieć, bo dla każdego z nas jest napisana. O ile więc chodzi o nowe prawo reprezentowane przez sam tekst przepisów, prawo, które jeszcze nie ma orzecznictwa, ani komentarzy i po wielkiej części nigdy mieć ich nie będzie dzięki ciągłym zmianom i nowelizacjom, skromną tu stosunkowo rolę odgrywa prawoznawca, zmuszony do ograniczenia swej wykładni do samego tekstu ustawy.

W chwili, gdy — w dziedzinie prawa publicznego — wielkimi krokami oddalamy się od systemów prawnych, które miały za podstawę ideologię rewolucji francuskiej, a — w dziedzinie prawa prywatnego — w sposób już nie równie wolniejszy i mniej widoczny, lecz przecież niezaprzeczony, oddalamy się od dawnych, jakże długowiecznych zasad — że tylko wskażę postępujące ograniczenia prawa własności oraz swobodnego zawierania i obowiązku dotrzymywania umów — w takiej chwili jesteśmy nieraz świadkami, jak stopniowy upadek tego, co moglibyśmy nazwać starym prawem, jest uważany potocznie za jednoznaczny z upadkiem znaczenia tych wszystkich, którzy prawa tego są szafarzami.

Te potoczne sądy o upadku prawnictwa są jednak sądami powierzchownymi a tego dowodem był właśnie miniony zjazd, który, może nawet ponad oczekiwania jego inicjatorów, wyrósł do urzędu wydarzenia pierwszorzędnej wagi.

Złożył się na to szereg czynników. Już sam fakt, że po raz pierwszy w niepodległej Polsce Minister Sprawiedliwości poza terenem izb ustawodawczych wygłosił obszerne przemówienie programowe, fakt, że poza Ministrem wzięli udział w zjeździe, obok przedstawicieli najwyższych magistratur sądowych i adwokackich, ci wszyscy, którzy, jak marszałkowie Makowski i Car, na ukształtowanie się współczesnej prawno-politycznej rzeczywistości polskiej mieli i mają wpływ znaczny, już to samo dodało zjazdowi szczególniejszego znaczenia na zewnątrz. Ale co ważniejsze, znaczenie to wyraziło się także na wewnątrz w treści obrad zjazdu. Okazało się, iż potrzeba wypowiedzenia się w obecnej chwili na tej właśnie płaszczyźnie jest większa, niż można było przypuszczać.

Wielkie zmiany faktyczne, które przeżywamy na polu politycznym, społecznym i gospodarczym, pociągają

za sobą głębokie zmiany struktury prawnej. Te ostatnie mogą bądź to następować po pierwszych, sankcjonując niejako praktyką już uświęcone osiągnięcia faktyczne — tak dzieje się w ustrojach liberalno-parlamentarnych, gdzie ciężki aparat ustawodawczy powoli nadąża za wartkim biegiem współczesnego rozwoju — bądź też mogą zmiany struktury prawnej dotrzymywać kroku — zmianom faktycznym lub nawet wyprzedzać je — przykłady na terenie państw rządzonych autorytatywnie, gdzie szybko, niespodziewanie, nie raz przez noc wydawane, a przez radio publikowane dekrety same kształtują ewolucję faktyczną i narzucają tejże określony kierunek.

Lecz w jednym jak w drugim wypadku wzrasta potrzeba kontaktu i współpracy tych wszystkich, którzy prawo bądź tworzą, bądź je wykonują, bądź o nim orzekają.

Wszystkie te zmiany, o których mowa, mają mniej lub więcej wyraźne oblicze ideowo polityczne. I dlatego dobrze się stało, iż na zjazd poza fachowcami sensu stricto przybyli przedstawiciele myśli politycznej nie tylko jednego kierunku. Obok kierunku prorządowego reprezentowaną była dość licznie opozycja prawicowa, reprezentowani byli ludowcy; nie przybyli natomiast prawnicy socjalistyczni.

* * *

Brak tu miejsca na bliższą charakterystykę obrad Zjazdu skupionych w sekcjach. Kierunek nadawał im dobór tematów dość szczęśliwie przeprowadzony pod kątem widzenia aktualnej doniosłości problemów. Obok zagadnień prawa kartelowego w sekcji prawa prywatnego wielkie zainteresowanie siłą rzeczy wzbudziły obrady sekcji prawa konstytucyjnego. Uświadomiliśmy sobie na tle wygłoszonych referatów i rozważań porównawczych, że klasyczna zasada trójpodziału władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sądową coraz bardziej schodzi w cień, ustępując miejsca nowym koncepcjom ustrojowym.

Punkt ciężkości spoczywał jednak na najliczniejszej zresztą sekcji prawa karnego. Daleko idące projekty reformy postępowania karnego w kierunku skupienia dochodzenia w ręku oskarżyciela, zniesienia apelacji i sądów wieloosobowych to już samo przez się hasła dostatecznie rewolucyjnie brzmiące w uszach wyznawców choćby uczniów dotychczasowego świata pojęć. Dodajmy, że wszystkie te projekty, stanowiące jedynie pochodne rzuconej dyrektywy, by wymiar sprawiedliwości był „szybki, tani i surowy“, to znowu tylko wyraz pewnej woli prawno-politycznej, pewnej koncepcji państwa; jako takie wywołać one musiały reakcje głębsze, niż tylko niechęć proceduralistów starej szkoły. Znaczenie sekcji prawa karnego podnosił w końcu fakt, że brała w niej udział zwarta grupa młodej prokuratury warszawskiej, jednolita pod względem ideologicznym w propagowaniu zasad nakreślonych w mowie programowej Ministra Grabowskiego.

Opozycja, reprezentowana głównie przez członków palestry, nie przyszła może do głosu w takim stopniu, jakby w interesie rozpiętości i bogactwa dyskusji życzyć by sobie należało. Hamująco wpływał tu ograniczony czas przemówień, hamująco obecność gwardii prokuratorów, oraz — być może — precedens sprawy adw. Hofmokl Ostrowskiego. Rozluźniły się języki adwokackie właściwie dopiero na bankiecie palestry. Ale tam znowu, niestety... nie było przeciwników.

* * *

Nie mogę zakończyć tych uwag o zjeździe bez zwrócenia uwagi na jego podłoże lokalne, bo nie podobna oceniać zjazdu w oderwaniu od tego środowiska, które go urządziło.

Fakt, że trzeci w Polsce, a pierwszy po siedmiu latach Zjazd obrał swe miejsce nie w jednym z ośrodkow uniwersyteckich, lecz właśnie w Katowicach, ma niewątpliwie swoją wymowę podobnie jak swoją wymowę miały słowa prezesa Frendla, gdy wyraził on życzenie, by żywe tętno pracy Ziemi Śląskiej udzieliło się pracom Zjazdu. Ma Śląsk swoje problemy specjalne, które mogą zainteresować szersze rzesze prawnicze, że tylko wspomnę o odrębnościach ustawodawczych, po części zabytkowych, o kompleksie związanym z wygaśnięciem konwencji genewskiej, o anomaliach specjalnie plastycznie tu występujących, jak wspomniany przez wojewodę Grażyńskiego podział administracyjny, tradycje zaborcze raczej niż aktualne potrzeby uwzględniający (zagłębie węglowe w dwóch województwach i systemach ustawodawstw socjalnych).

Lecz także żywotność miejscowego ośrodka prawniczego była czynnikiem, który tu wystąpił w całej pełni. Znakomity poziom organizacyjny Zjazdu i sprawność jego przebiegu, to znowu jedno z tych dodatnich dla śląskiego życia kulturalnego osiągnięć, których ostatnio coraz więcej mamy do zanotowania.

FELIKS BOCHEŃSKI.

W związku z zamianą „Kuźnicy“ na dwutygodnik z dn. 1. I. 37 podajemy: „Kuźnica“ jako dwutygodnik wychodzić będzie w dużym (gazetowym) formacie. Cena pojed. egz. gr 30. Prenumerata: mies. gr 60, kwart. zł 1,50, półroczna zł 3, roczna zł 5, czyli warunki prenumeraty pozostają te same.

ADMINISTRACJA.

Dwa razy P. A. L.

Pragnąc czytelnikom dać obiektywny obraz nastrojów, jakie towarzyszyły wizycie Polskiej Akademii Literatury na Śląsku, zamieszczamy poniżej dwa sądy, będące wyrazem zasadniczo różnych nastawień, jednak do pewnego stopnia uzupełniające się na wzajem. Artykuł ks. dr. Szramka mówi bowiem przede wszystkim o tym, któremu P. A. L. posiedzeniem w Katowicach składała hołd w setną rocznicę urodzin, o ks. Norbercie Bonczyku. W tej też mierze jest zgodny z sądem redakcji. Artykuł Z. Hierowskiego zwraca natomiast uwagę na formę tego hołdu i sprawy z nią związane. Z tego względu ma znaczenie ogólniejsze. Dziełu i zasłudze Bonczyka zamierzamy poświęcić osobny artykuł. **Redakcja**

P. A. L. Górnoślązakowi w hołdzie.

Uroczyste posiedzenie Polskiej Akademii Literatury, odbyte 28-go listopada w Katowicach, było pierwszym — odkąd Polska Akademia Literatury istnieje — posiedzeniem jej poza Warszawą. Przeciętny Ślązak nie zdawał sobie wcale sprawy, że chodziło o wyjątkowe uczczenie Górnego Śląska.

Z pewnością zasługuje nasza dzielnica na takie wyróżnienie, skoro sam Żeromski upatrywał w Śląsku retortę kolosalną, gdzie się ma wygotować wielkie życie potężnej Polski. Te słowa Żeromskiego przytoczył wojewoda Grażyński na wstępie akademii, witając wysokich gości z prezesem Polskiej Akademii Literatury Wacławem Sieroszewskim na czele. Wojewoda przypomniał zarazem skargę Żeromskiego z roku 1923, że dzieło Boskie, jakim jest Śląsk, nie obudziło w artyźmie polskim ani jednego westchnienia, równorzędnego mu co do wielkości i siły. Lecz jak naród cały, tak i Żeromski nie znał dzieł ks. Norberta Bonczyka. A jednak w nich, a jak dotąd tylko w nich, jest godny wyraz artystyczny Górnego Śląska. I właśnie z nowym wydaniem głównej epopei ks. Bonczyka — Stary Kościół Miechowski i z nadchodzącą setną rocznicą urodzin poety łączy się przyjazd Polskiej Akademii Literatury do Katowic.

Mówiono wprawdzie z tej okazji znowu wiele — i to zupełnie słusznie — o wspaniałej manifestacji ducha polskiego, jaką są niewątpliwie trzy powstania górnośląskie, będące najbardziej ludowymi ruchami zbrojnymi w dziejach polskich, ale przede wszystkim chciano podkreślić rozstrzygającą rolę, jaką dla żywotności sprawy narodowej na Śląsku posiadała, posiada i nadal posiadać będzie mowa polska. Pięknie powiedział wojewoda Grażyński, że lud śląski w wielkiej zawierusze dziejów był jak ten bór, na który szły nawałnice, ale który się ostał dlatego, że zawsze szumiał tą samą polską mową. Przeto mowie polskiej był poświęcony pierwszy referat uroczystej akademii, który wygłosił w formie najwykwintniejszej sekretarz Polskiej Akademii Literatury Juljusz Kaden-Brandowski.

Patronem zaś całej uroczystości był śp. proboszcz bytomski ks. Norbert Bonczyk, autor dwóch epopei górnośląskich: Stary Kościół Miechowski i Góra Chełmska. O nim to i o duchu jego poezji wygłosił teraz swój głęboko przemyślany odczyt były wizytator szkolny Wincenty Ogrodziński, wykazując jak u Bonczyka przebija poprzez wszystkie przeciwne kierunki i prądy współczesne anima naturaliter polona, dusza z natury polska.

Jeżeli wtedy na przepełnionej sali posiedzeń Sejmu Śląskiego Ślązacy i nie — Ślązacy, lud prosty i inteligencja, przedstawiciele wszystkich stanów, urzędów i zawodów, a pomiędzy nimi w pierwszym rzędzie najwyższy areopag kultury narodowej, jakim wszakże są członkowie Polskiej Akademii Literatury, skupiali swoją uwagę na skromnej a jednak wybitnej postaci śp. proboszcza bytomskiego ks. Norberta Bonczyka, było to w gruncie rzeczy aktem hołdu dla zapoznanej tak długo zasługi, było zarazem wyniesieniem epika górnośląskiego z mroków grożącego mu zapomnienia do blasku należnej chwały i uznania. Akademia Literatury, zanim żyjących zaczęła tu zdobić złotymi i srebrnymi wawrzynami, złożyła w duchu cały wieniec złotych wawrzynów przed postacią ks. Bonczyka.

Albowiem on to postawił językowi polskiemu na Śląsku pomnik wieczno-trwały — monumentum aere perennius — a że w czasie rozpętania bezwzględnej germanizacji uczynił to z najczystszego idealizmu, bez niczyjej zachęty, zupełnie bezinteresownie i własnym nakładem, bez cienia subwencji lub nagrody literackiej, należy mu się po wsze czasy wdzięczność całego narodu. Choćby teraz i zniemczył się Śląsk Opolski, to już nigdy Niemcy nie zdołają sprzątnąć literackich wielkich pomników, jakie tam postawił ks. Bonczyk, a bez których polska literatura na Śląsku świeciłaby dziwną pustką.

Zwłaszcza „Stary Kościół Miechowski" okazuje się z perspektywy lat już blisko 60-ciu dziełem, które posiada znamiona prawdziwej wielkości — jest to „Pan Tadeusz" górnośląski. Na szerokiej epicznej podstawie wznosi się to dzieło jak piramida imponująca i wspaniały pomnik polskości całego, podzielonego dziś Górnego Śląska. Liryczne wiersze polskich i niemieckich autorów tutejszych zapalały się i gasły wokoło, jak rakiety efektowne lecz nietrwałe. Tu zaś nie ma wylewu chwilowego uczucia, lecz jest w formę epopei zaklęta synteza życia wiejskiego na Śląsku z połowy 19 stulecia. Ignacy Kraszewski nazwał to kawałem rudy, w której złoto prześwieca i zapewniał, iż żaden najkunsztowniejszy poemat nowy, cudnie rymowany, wycacany, wypieszczony, wyperfumowany, wydiamentowany, nie zrobił na nim tego wrażenia, co te śląskie obrazki ks. Bonczyka.

Słusznem by było, gdyby teraz, gdy jest należycie opracowane nowe wydanie „Starego Kościoła Miechowskiego" zadość się stało dawnej rezolucji Śląskiego Zjazdu Akademickiego z roku 1928, w której 200 przedstawicieli rodzimej inteligencji jednogłośnie prosiło Śl. Urząd Wojewódzki, by raczył w szkołach średnich na Śląsku zaprowadzić jako lekturę obowiązkową epos ks. Bonczyka: Stary Kościół Miechowski.

Ks. EMIL SZRAMEK.

Odwrotna strona medalu.

Wizyta Polskiej Akademii Literatury na Śląsku, oceniana jako hołd złożony dziełu ks. Norberta Bonczyka, to objaw bezsprzecznie miły dla nas wszystkich. To też warto było przyjść na to uroczyste posiedzenie, by usłyszeć o pisarzu tym słowa mądre i ważkie, by ujrzeć jego postać i dzieło w tym oświetleniu, jakie mu dał odczyt Wincentego Ogrodzińskiego.

Ale forma tego hołdu zadowolić nie może. Uczyniono wszystko, by uroczystości tej dodać zewnętrznego blasku, ale jej wartość wewnętrzna pozostała i pozostać musiała bardzo nikła.

Polska Akademia Literatury przyjechała na Śląsk dostatecznie już skompromitowana. Sposób, w jaki ją do życia powołano, dobór ludzi, przeprowadzony nie na podstawie istotnych w tym wypadku kryte-

riów, jej groteskowa „działalność“ z konkursem na hymn narodowy włącznie, plon dwukrotnego siewu wawrzynów i na dobitek sprawa Rzymowskiego — wszystko to Akademię dostatecznie w oczach kulturalnego społeczeństwa zdyskredytowało. Samo „uroczyste posiedzenie“ dokonało reszty tym, co usłyszeliśmy z ust Sieroszewskiego i bombastyczną, pretensjonalną a beztreściową mową Bandrowskiego. To też posiedzenie wypadło opłakanie. Część lepszych miejsc obsiadły osobistości oficjalne, drugą część snoby, na galerię wpuszczono z łaski na stojące miejsca trochę młodych ludzi, którym osobiste stosuneczki nie pozwoliły jeszcze na wywalczenie sobie odpowiedniejszego miejsca w wielkim świecie Katowic. A poza tym było pustawo.

Fatalnie opracowana pod względem rzeczowym i stylistycznym mowa Sieroszewskiego robiła smutne wrażenie. Uroczystość rozdania wawrzynów wrażenie to pogłębiła. Obok ludzi naprawdę dla kultury polskiej zasłużonych, ujrzeliśmy wawrzyny w rękach dwóch panów, których odznaczenie powitano kłopotliwym i pełnym niemiłego zdziwienia milczeniem. Jak można obok niewątpliwych zasług wojewody Grażyńskiego, Siemaszkowej (proszę sobie przypomnieć, że w pierwszej kolejce dekorowano wawrzynami suflerów), Rybarza, Łukasza Wallisa, stawiać nieznane zasługi panów Jarnutowskiego i Świętochowskiego. Złośliwi odkryli jednak genezę tego drugiego wawrzynu, orzekli bowiem, że to jest ten sam, który został odrzucony w roku ubiegłym przez wielkiego pisarza Aleksandra Świętochowskiego; niech zostanie przy nazwisku!

Najmilszym momentem tej uroczystości było wręczenie książek uczenicom i uczniom, którzy wykazali celujące postępy w nauce języka polskiego. W akcie tym przebijała rzeczywiście dbałość o dobro i rozwój kultury polskiej, o budzenie zamiłowań literackich w młodym pokoleniu. Szkoda tylko, że zgromadzeni na galerii (na stojąco) profesorowie języka polskiego byli podobno tak samo zdziwieni niektórymi wyróżnieniami, jak ogół wawrzynami dwóch wspomnianych powyżej panów. Okazało się bowiem, że o wyborze decydowali nie kompententni profesorowie, lecz dyrektorzy.

Na zakończenie tego wszystkiego jedno jeszcze pytanie: czyimi oczami wypatrywała P. A. L. kandydatów do wawrzynów na Śląsku? Jasne jest jedno: były to oczy, widzące bardzo szczupłe świata koło, skoro potrafiły odkryć zasługi nieznane a nie zdołały w dużej masy nauczycielstwa szkół średnich i powszechnych wybrać ludzi o bezspornych i ważkich zasługach dla kultury polskiej na Śląsku, skoro nie dojrzały zasług najbardziej ofiarnych i najbardziej oczywistych. Był to znak, że w Polsce ta warstwa pracowników została już nie tylko materialnie zdegradowana. I dlatego to niedopatrzenie jest szczególnie bolesne i siewcom wawrzynów przynosi wstyd, jest jednym z dalszych dowodów nieorientowania się „areopagu“ naszej kulkury w jej istotnych zagadnieniach.

Na wizycie P . A. L.'u skorzystał teatr. Miał premierę nie tylko rozdaną, ale i rozsprzedaną do ostatniego miejsca w drugim rzędzie drugiego piętra. Tak przysłużył się P. A. L. swemu niewdzięcznemu członkowi — K. H. Rostworowskiemu, który ofiarnie ponosi teraz konsekwencje tego, że we właściwym momencie nie mógł się zdobyć na zdecydowaną postawę Andrzeja Struga.

ZDZISŁAW HIEROWSKI.

Życie teatru.

Teatr im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

Karol Hubert Rostworowski: „NIESPODZIANKA“, prawdziwe zdarzenie w czterech aktach, reżyseria: Stanisława Zbyszewska, dekoracje: Józef Jarnutowski.

Zasadniczo zwykły recenzent teatralny nie ma potrzeby wypowiadania się na temat samej „Niespodzianki“. Jest ona już dostatecznie znana. Obeszła prawdopodobnie wszystkie sceny polskie, spotkał ją ten wyjątkowy z naszej dramaturgii los, że ukazała się w wydaniu książkowym, omawiali ją najwybitniejsi nasi krytycy teatralni.

Pomimo to ciśnie się jednak pod pióro jedna jeszcze kwestia, problem winy i kary w „Niespodziance“. Gdy się nad nią zastanowimy, uderzy nas tu dziwne zjawisko: z tej przez samego siebie wysoko cenionej sztuce Rostworowski schował pod korzec swój sztandarowy katolicyzm. Napisał rzecz raczej o charakterze kryminalnym. Bo ostatecznie Szywałowie za zbrodnię swoją zapłacą prócz rozpaczy — więzieniem. Czyn ich nie spotyka się z kwalifikacją etyczną, lecz zostaje osądzony na podstawie kodeksu karnego. Skutek jest taki, że widz nie doznaje ulgi, bo nie można jej w dramacie osiągnąć słowem „policja“, wychodzi przygnębiony, z urazem w duszy tak, jakby wracał z domu, w którym popełniono straszliwe moderstwo. Jest to krwawy strzęp z życia, przetworzony na utwór sceniczny z głębokim znawstwem duszy chłopskiej, mistrzowską plastyką i realizmem, którego stronie literackiej żadnych niemal nie można postawić zarzutów.

„Niespodziankę“ trzeba uznać za jedną z lepszych pozycji naszego teatru. Wiernie i sumiennie opracowała ją p. Zbyszewska a czołowe postacie Matki i Ojca znalazły świetnych wykonawców w osobach p. Wandy Siemaszkowej i p. Mariana Jastrzębskiego. Siemaszkowa, którą tak rzadko na scenie widujemy, rolę swą doskonale odtworzyła we wszystkich jej momentach, jako gospodyni i „pani domu“, jako żona pijaka, jako matka, udręczona troską o jednego syna i przyszłość córki i gnębiona przepojoną goryczą tęsknotą za drugim synem, wreszcie jako zbrodniarka i dotknięta ciosem straszliwej omyłki kobieta — zawsze dawała

grę pełną prawdy i siły. Nie było w tej roli niedociągnięć i nie było momentów, któreby uznać trzeba za przeciągnięte. Dobre opanowanie trudnej gwary „Niespodzianki“, wymowa i plastyka gestu, który jest niezawodną stroną gry tej artystki, dopełniały reszty. Tę umiejętność posługiwania się gestem szczególnie podkreślam, gdyż rzadko widuje się u aktora gestykulację tak oddającą stany duchowe i przemawiającą mocniej i wyraziściej niż słowa.

Prawdziwą niespodzianką był p. Jastrzębski jako Ojciec. Rolą tą odsłonił swoje szerokie możliwości i pokazał, że dotychczasowy typ ról, jakie mu przydzielano, nie wyczerpywał jego zdolności a przez swą jednostronność mógł wywrzeć na ich rozwój wpływ szkodliwy. Podkreślić szczególnie należy wysoki poziom jego gry w trzech pierwszych aktach. Akt czwarty był słabszy, tym bardziej, że wykazał tam pewne wady dykcji.

P. Martyka w roli Abramka nie czuł się zbyt dobrze. Za mało w nim było przekonującej pasji i niepokoju, z jakim postać ta tropi ślady zbrodni, zdradzał przytem skłonność do komicznego potraktowania niektórych nie nadających się do tego momentów. Słabo również wypadła grupa parobczaków. Ich zachowanie się i wesołość były sztuczne i bez życia. Oprócz dobrej gry p. Śródki zwrócić trzeba uwagę na zupełnie dobre wykonanie przez anonimową artystkę roli Zosi.

I. dyskusyjny wieczór teatralny.

Towarzystwo Przyjaciół Teatru w Katowicach zorganizowało w dniu 2-go grudnia pierwszy dyskusyjny wieczór teatralny, poświęcony omówieniu dotychczasowego dorobku katowickiej sceny. Miał on dać ponadto możność przedyskutowania postulatów i uwag, jakie wysuwają miłośnicy teatru. Dyskusję zagaili przemówieniami pp. dr. Julian Zagórowski, dr. T. Dobrowolski dyr. Sobański i dr. Leopold Kielanowski. Po przemówieniu wstępnym dr. Zagórowskiego, dr. Dobrowolski omówił repertuar teatru katowickiego w latach 1934—1936, dyr Sobański scharakteryzował zasady jego polityki repertuarowej, dr. Kielanowski bardzo interesująco mówił o prawach reżysera i metodach jego pracy. Po referatach rozwinęła się żywa i pożyteczna dyskusja, która odsłoniła nie zawsze pochlebne zdania o naszym teatrze i w której domagano się dosyć zasadniczych reform w polityce repertuarowej, dopuszczenia w większej mierze sztuk współczesnych polskich, rozszerzenia zespołu aktorskiego i t. p. Nie wszystkie tezy referatów i odpowiedzi referentów wypadły przekonująco.

Wieczór należy uważać za całkowicie udany i zapowiedź dalszych powitać trzeba z uznaniem. Zbliżą one publiczność do teatru, zainteresują ją jego sprawami i uczynią zeń coś więcej niż miejsce, gdzie spędza się często bez przekonania dwa wieczory w miesiącu.

Dysproporcje.

Zabrnęły do nas... na prowincję aż dwie sztuki grane w Warszawie rekordową ilość razy... Przyszły by zabłysnąć, by nam pokazać jak się myśli i czuje w wielkim świecie. Minęły, zgasły a prawdę powiedziawszy jakiś opar dziwnej atmosfery powiał od nich.

Pierwszy wyczyn artystyczny to sztuka „Matura“, nad którą p o n o namyślano się u nas, czy nie puścić jej na przedstawienie szkolne. Do tego nie doszło i to dobrze, bo sztuka ta jest tak jednostronna, płytka i budowana tandetnie, że nie może być uważana za coś, co może kształcić młodzież lub zmuszać ją do przemyślania ważnych problemów.

Myśl nasza biegła w nie tak dawne czasy i wspominaliśmy sztukę pt. „Rekruci“, którą tak szybko zdjęto z afiszy... I złośliwy chochlik szeptał w ucho: „Rekrutów“ sprzątnęli, bo była to poważna satyra na rzeczywistość. Była to satyra chłoszcząca władze szkolne... „Matura“ grasować będzie, bo się w niej wyśmiewa tylko... nauczyciela...

Na temat wartości „Matury“ dałoby się dużo powiedzieć. Wzniosłym przykładem dla młodzieży być może owe dziewczę kłamiące miłość, byle tylko zdobyć patent, owa nauczycielka zdradzająca uczenicy, z czego ją pytać będą przy maturze, owa cudna postać wychowawczyni gmerającej po koszach, by wydobyć tajemnice młodzieży i ją dręczyć... Słowem hart, zdrowie moralne łyka się pełną piersią i może szkoda, że zacofany klerykalizm pojęć śląskich nie pozwolił zrobić z tej sztuki propagandowego wieczoru dla młodzieży szkół powszechnych, średnich i przedszkoli...

Druga sztuka to „Tessa“; grali ją w Warszawie x razy i zachwyt był kolosalny.

Jedno tylko z tej sztuki wyciągnę... Grają tam dwa d z i e c i a k i, 10 letni chłopak i dziewczynka. Gdy się ich widzi na scenie, to chce się mimowoli wołać: „Gdzie jest w Polsce opieka nad dzieckiem“?

Dwa te bobasy zamiast spać snem sprawiedliwego po odrobieniu lekcyj, po kolacji i odmówieniu pacierza tłuką się po deskach katowickiej sceny, a też biorą ich na rozjazdy i męczą fizycznie i moralnie.

Brzdąc taki 10 letni mówi te słowa: „Kiki uwiódł mi siostrę!! Co mam robić? Czy wyzwać go na pojedynek?“ Lub w scenie ostatniej tenże sam 10 latek jest arbitrem, który ma zadecydować, czy stary koń, artysta muzyk ma opuścić legalną żonę, ot tak na galop bez niczego i pojechać z pięknym próżniakiem i nieukiem, ładną Tessą?

Jak ten sąd wypada wiemy... Ten 10 letni malec daje dyspenzę i stary koń uradowany jedzie w nieznane z Tessą. O jakie cudne!! Boskie!! postępowe!! Konsekwencja: Poco kodyfikować prawo małżeńskie, ten mały już nam dał wskazówki... Dymisja wszystkich sędziów i innych przeżytków przesądzona!!

„Tessa“ walczy o prawo wolnego człowieka!!! Jest to sztuka rekordowo postępowa.

IRENA JUCHNOWICZÓWNA.

Teatr w Sosnowcu.

Nieporozumieniem i fałszem jest modna obecnie pasja odkrywania źródeł dekadencji teatru współczesnego w samym teatrze tylko; pasja widzenia w nim i tylko w nim całej masy elementów rozkładowych dla jego żywotności, hamujących jego dynamikę. W zażegnywaniu istotnie niepokojącego coraz bardziej zjawiska przegadanego już, ale jeszcze nieprzezwyciężonego kryzysu kultury teatralnej, winno nastąpić jakieś generalne przesunięcie, jakiś stanowczy przełom, zwrot.

Uwarunkuje on rozkwit perspektyw teatru na przyszłość. Trzeba tylko, żeby nasza oficjalna i mniej oficjalna teatrologia pedantyczną i wielmożną uwagę swoją zechciała, choćby na moment, przenieść ze sceny na widownię, z inscenizatora — reżysera, scenografa, kompozytora ilustracji muzycznej, aktora i autora dramatycznego na siebie i wokół siebie. Trzeba tylko zdobyć się na spojrzenie bez maski, na odwagę stwierdzenia, ze znamion i dekadencji dzisiejszej kultury teatralnej odkryć można stokroć więcej po tej stronie kurtyny, niż po tamtej. Trzeba tylko dawki lekarstw przepisane cierpkimi receptami przeznaczyć do przełknięcia nietyle teatrowi, ile raczej zdemoralizowanym teatralnie warunkom środowiskowym, wśród których jego praca posuwać się musi.

Innymi słowy, proces myślenia o teatrze dzisiejszym należałoby poprostu odwrócić i zacząć rozumować w sposób następujący: Nie teatr się kończy, tylko my! Nie teatr się przeżywa, tylko my! Nie teatrowi grozi bankructwo, tylko nam! Nie tyle dla

teatru trzeba przebudowy i odrodzenia, ile raczy przede wszystkim dla nas! Głównie odrodzenia tęsknoty za nim!

Teatr musi stać się potrzebą każdego polskiego obywatela! Trzeba tylko robić coś w tym kierunku. I tu właśnie teatr każdy musi wziąć jak najbezpośredniejszy udział jako najgłówniejszy inicjator, propagator i realizator. Tutaj też leży najistotniejszy może rdzeń logiki wszelkiej ingerencji i kompetencji krytyki teatralnej w sprawach teatru. Tu jej prawo kontrolowania i najsurowszej nawet analizy jego polityki, jeśli zajdzie konieczność jeśli się okaże, że teatr robi za mało w tym kierunku, aby mógł stać się potrzebą każdego polskiego obywatela.

Teatrowi nie wolno skostnieć, zasklepić się i ograniczyć tylko do trudu nad sceniczną realizacją utworu dramatycznego. Obok obowiązków względem autora musi sobie uświadamiać jeszcze całą szerokość i głębię obowiązków względem widza. Mało jest dać przedstawienie. Trzeba weń umieć jeszcze widownię wprowadzić. Wszyscy inscenizatorzy dzisiejsi istotę inscenizatorskiej pracy widzą w unowocześnieniu i uwspółcześnieniu dramatycznego dzieła, w zbliżeniu go do widza. Żaden zaś, a przynajmniej rzadko który myśli i pracuje nad tym, żeby naodwrót widza zbliżać do dzieła; rzadko który pracuje nad obmyśleniem środków jak najwłaściwiej wprowadzających widza w utwór sceniczny i ułatwiających tym jego zrozumienie i odczucie. A oto przecież dzisiaj głównie chodzi!

Teatrowi nie wolno bagatelizować przedkurtynowych prelekcyj. Teatrowi nie wolno w programach teatralnych być tylko kolporterem reklam, a zapominać o propagandzie swej sprawy drogą teatrologicznych artykułów. Teatrowi nie wolno lekceważyć organizacji przedstawień dla młodzieży szkolnej, wobec której ponosi on całkowitą odpowiedzialność za jej ustosunkowanie się do niego niejednokrotnie na całe życie. Teatr albo z widownią współpracuje, ma ambicję podciągnięcia jej do wysokości swych założeń, albo z wysokości swej na publiczność gwiżdże i tym samym rezygnuje z wszelkich do niej pretensyj. Z tego punktu widzenia linię polityki teatru sosnowieckiego trzeba stanowczo zaatakować. Dla krzewienia kultury teatralnej Teatr Zagłębia robi dużo, zwłaszcza swymi objazdami po kilkunastu miejscowościach powiatów: będzińskiego, olkuskiego, zawierciańskiego. Mógłby jednak zrobić nieporównanie więcej i powinien! Być może, że Dyrekcja teatru uważa stan taki, jaki jest, za najnaturalniejszy i najidealniejszy (tym gorzej!). Być może, że kryje się w tym jakiś cel, logika, czy polityka. Dość, że widzowi nie tłumaczą się wcale, na całokształcie zaś prac omawianego teatru rysują się jakąś niepotrzebną luką, czy nawet niepokojącą plamą

Teatrowi nie wolno być tylko po to, żeby być. To wegetacja! Ani czwartą ścianą, ani żelazną kurtyną od widza odcinać mu się nie wolno. Trzeba, żeby sobie publiczność zjednał, zdobył, do swych celów, urobił, wychował ją i uteatralnił. Nie samymi spektaklami tylko! W większym może jeszcze stopniu przez propagandę: w szkole, w salach odczytowych, na wieczorach dyskusyjnych, w prasie itd.

Wymagania ukształconych, a nie zdemoralizowanych teatralnie mas narzucą pożądaną wysokość poziomowi repertuaru; stworzą najidealniejsze warunki dla wypowiedzenia się artystycznych dążeń ludzi sceny; pozwolą teatrowi spełnić wielkę misję jako jednej z najnaczelniejszych Instytucyj Pracy nad zorganizowaniem i zdyscyplinowaniem życia.

Na terenie Zagłębia teatralne ugory są przeogromnie zaniedbane. Teatr czeka diabla robota. Sosnowiecki grunt trzeba z piekielną pasją przeorać! Wbrew opinii Dyrekcji teatru miejskiego należy mimo wszystko środowisko to zakwalifikować jako absolutnie ateatralne. Azjatycka ignorancja i niesłychany analfabetyzm w sprawach teatru, spotykane nierzadko wśród inteligencji z wykształceniem uniwersyteckim, która np. nigdy nie słyszała, że istnieje cała przebogata i olbrzymia wiedza o teatrze, zwana teatrologią — jest zjawiskiem wręcz zdumiewającym. Najtypowszych przykładów, argumentów i ilustracyj nagminnego nieraz próchna i kalectwa w procesie rozumienia i doceniania najgłębszej i najwyższej z kultur artystycznych, kultury teatru, — tu trzeba szukać.

O działalności istniejącego tu podobno Towarzystwa krzewienia kultury teatralnej nic a nic nie słychać. Na prelekcji o teatrze, widać, jeszcze nie czas. Artykuły teatrologiczne do lokalnej prasy nie dotarły wcale. Młodzież szkolna chciałaby; ale cóż z chceniem? Za to tzw. szersza publiczność z Rittnera nic a nic nie rozumie, na Rostworowskim bawi się jak na farsie jakiej, a na Fredrę nie przychodzi wcale. (Wierzę w mękę i bohaterstwo gry aktorskiej).

Mieć jeszcze złudzenia co do teatralności środowiska, w którym linia najmniejszego oporu zdaje się być obowiązującą normą w tej dziedzinie, znaczy to już tylko potwierdzać prawdę mądrością wieków dyktowanego powiedzenia, że miłość zaślepia i za nic w świecie nie dopuszcza, żeby człowiek „tak miał za tak, a nie za nie“.

Od acywilizowanych i ateatralnych lodowców podbiegunowych oderwana kra, na której ludziom teatru co chwila zdaje się grozić niebezpieczeństwo zimnych i słonych odmętów! Szklane domy cudownych marzeń o „Hamlecie“ i „Sułkowskim“. Biblijne perły . . . . . .

EMKA.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Plebiscytowa 1. Telefon Nr. 307-51. Konto P. K. O. Nr. 304-581.

Wydawca i Redaktor: Paweł Musioł. Redaktor odpow.: Zdzisław Hierowski.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: $^1/_1$ strona 200,— zł, $^1/_2$ strony 100,— zł, $^1/_4$ strony 50,— zł, $^1/_8$ strony 30,— zł, $^1/_{16}$ strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria“ Siemianowice Śl.